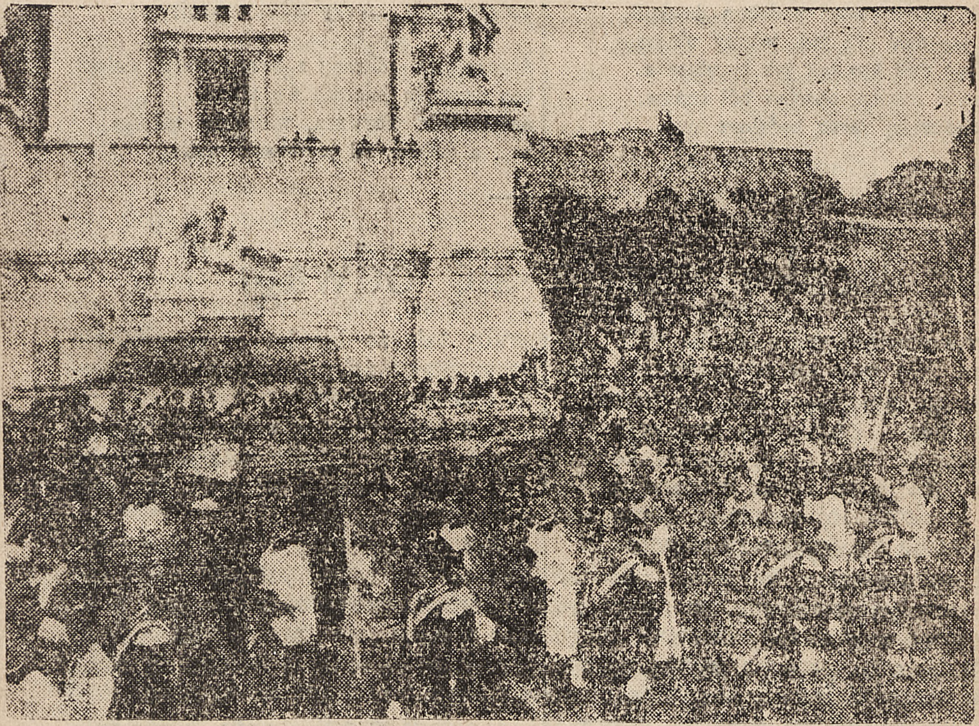
NIEDZIELA 12 CZERWCA 1938 ROKU. Nr 39.

MÓJ ŚWIATEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego” dla młodzieży



RELIKWIE ŚW. ANDRZEJA BOBOLI W DRODZE DO KRAJU

Wczoraj zostały uroczyście powitane na granicy Rzeczypospolitej w Zebrzydowicach relikwie św. Andrzeja Boboli, które wraz z asystą duchowych i świeckich, w specjalnym wagonie-kaplicy, zostały przewiezione z Rzymu. Na zdjęciu — relikwie św. Andrzeja Boboli w specjalnej trumnie, przenoszone w uroczystym kondukcie ulicami Wiecznego Miasta.

CEBULA

Zwierzała się cebula marchewce,
że się nikt z nią żenić nie chce.
Gdy się tylko do niej zbliżą młodzi,
każdy z płaczem od razu odchodzi.
Radziła się wielu sąsiadek,
doświadczonych matek licznych dziatek,
może która z nich jeszcze pamięta,
jak znalazła sobie konkurenta.

A marchewka zaraz na nią z góry:
— Przecież jesteś podobna do kuli,
czy się dziś kto tak jak ty ubiera,
czy się dziś kto tak jak ty ubiera.
Wyrzuć sukien, chociaż pół tuzina,
a zobaczysz, zaraz będziesz inna.

Posłuchała jej cebula dorodna,
chciała być też wysmukła i modna.
Wyrzuciła sukien tuzin cały,
no... i prawie nic z niej nie zostało.
Przycupnęła pod okienkiem piwnicy
i tam w żalu i smutku łzy liczy.

Przez okienko słońce zaświeciło,
wygrzewała się cebulka miło,
aż z niej w cieple, nie czekając wiosny,
świeże pędy szczypiorku wyrosły.

Szczypior — dumny z swej świeżej zieleni,
bez namysłu hucznie się ożenił:
najpierw z pierwszą, wiosenną sałatką,
no... a potem, od pietruszki natką.

Jak Irenka uczyła się odwagi

Nie powiem, żeby Irenka była tchórzem. Nie bała się wydrapać na drabinę, na płot, nie bała się skakać z wysokiego pnia drzewa, potrafiła wstrzymać łzy, gdy stłukła kolano. Ale była jedna rzecz, która sprawiała, że skóra jej cierpła, a włosy tak śmiesznie się jeżyły ze strachu.

Tego uczucia doznawała zawsze, ile razy wieczór stawała na progu ciemnego salonu. Gdy drzwi do niego były otwarte, czarna głębia pokoju była straszna. Irenka zamykała oczy, by tam nie patrzeć, a nawet, gdy wieczorem pokój był zamknięty — przemykała się koło drzwi na palcach.

Za dnia ten sam pokój był jej ulubionym pokojem.

Przede wszystkim był tam fortepian. To było coś cudownego. Dotkniesz delikatnie palcem klawisza z prawej strony, odezwie się cieniutki głos, a z lewej gruby, czasem bardzo gruby tak, że Irenka aż przysiadała na podłodze żeby taki sam ton swoim głosem wydobyć.

Podobały się jej też w salonie kwiaty. Cóż, kiedy właśnie wśród nich miała jednego wroga. Był nim filodendron.

Był on ogromny. Stał na niziutkim stoliku i miał już nie wazon, ani donicę, ale beczułkę drewnianą, a liście wielkie jak tarcze, dziwacznie powycinane, były zwrócone do okna i pełzały po ścianie aż do sufitu.

I coś dziwnego robiło się z tym kwiatem, gdy wieczór zapadał, a w pokoju było ciemno. Wszystkie liście stawały się jakimiś widmami. Irenka widziała w nich jakieś twarze okropne, szpetne, złośliwe. Cały pokój zapełniał się tymi widmami, bo wielka roślina prześwietlona światłem z poza okna rzucała cienie na ściany. I opadał ją strach i za nic w świecie

nie weszłaby do ciemnego salonu.

A była wtedy na świecie wojna.

Najstarszy brat był w wojsku. Pod miastem słychać było armaty. Adaś, braciszek Irenki, miał wiele kłopotów braciszek Irenki, miał wciąż wiele do omówienia ze swoim przyjacielem Jankiem. Wciąż nad czymś radzili, do czegoś się przygotowywali. Irenka nieraz miała ochotę, żeby ją też dopuścili do tych tajemnic, cóż, kiedy była „mała“ dziewczynka.

Aż jednego razu, Janek zawołał ją. Ach, jaka była szczęśliwa i dumna. Janek objaśnił ją, że, ponieważ jest wojna, ponieważ wszyscy mężczyźni idą do wojska, więc i oni „niedługo“ będą żołnierzami, a że i kobiety zostają sanitariuszkami, więc wszyscy bez wyjątku musimy być dzielni i odważni. Trzeba mieć odwagę dokonać i najstraszniejszej rzeczy. I ci, którzy tej odwagi nie mają, muszą ją zdobyć.

— Dlatego, Irenko — kończył przemowę — postanowiliśmy z Adasiem wypróbować naszą odwagę i jej się nauczyć i ciebie do tej nauki dopuszczamy.

I wiecie, co się okazało? — że nie tylko Irenka, ale i Adaś, a nawet Janek nie „lubieli“ chodzić do ciemnego pokoju. Trzeba więc najpierw tego się oduczyć.

Dzieci postanowiły, że każde z nich musiało przesiedzieć parę minut w zamkniętym, ciemnym salonie. Codziennie, coraz dłużej, aż do przyzwyczajenia i przestaną się bać, bo nie ma czego.

Dziś pierwsza lekcja. Na pierwszy ogień poszedł Janek, po tym Adaś, po tym Irenka.

Przy salonie była t. zw. nyża. Taki malutki pokoik bez okna i drzwi, który zasłaniało się czasem kotarą. Adaś więc wziął siostrę za rękę i poprowadził przez ciemny salon do jeszcze ciemniejszej nyży. Tu, na środku na dywanie Irenka usiadła i mężnie spojrzała filodendronowi w „oczy“, bo właśnie naprzeciw było okno.

Nikt nie wiedział, że to był wróg Irenki i dziewczynka tylko sobie w duchu przyrzekła, że przez cały czas „lekcji“ nie spuści oka z niego.

Adaś odszedł drzwi zamknęli na klucz — jeszcze Janek zawołał: „pięć minut odwagi!“

I zaczęła się wojna z filodendronem. Napróżno się wykrzywiał, napróżno stroił najokropniejsze grymasy. Irence włosy się jeżyły, ale nie spuściła oka. Miała wielką ochotę zwinąć się w kłębek i głowę stulić w kolana — ale przecież obiecała być odważną.

Naraz gdzieś pod ścianą coś zaszeleściło, szmyrgnęło raz i drugi — już, już miała odwrócić głowę. — Nie!

Znowu coś zatrzepotało na oknie — to filodendron naturalnie — może się ruszy — może wyciągnie do niej te długie badyle — oj — oj. — Nie. Irenka nie drgnie.

Wtem — jak brzdęknie coś w fortepianie, teraz aż podskoczyła, już, już, miała krzyknąć, ale palec przygryzła mocno i — nie! I wiecie co?

Patrzy Irenka, patrzy — a filodendron się śmieje, śmieje się najwidoczniej, wszystkimi swoimi liśćmi. Pewnie spodobało mu się to, że dziewczynka nie krzyknęła.

I nagle przyjemnie zrobiło się w pokoju — wszystko wyraźnie widać wcale nie jest strasznie. Irenka miałaby nawet ochotę podejść zobaczyć co to tak w fortepianie strzeliło ale trzeba wytrwać na miejscu i zresztą zaraz drzwi się otworzyły.

„Już pięć minut“ — zawołał Ja-

nek. Zaraz też na progu ukazał się Adaś. Obaj patrzyli w twarz Irenki badawczo. Była trochę bladą, ale uśmiechnięta. Wychodząc nie mogła powstrzymać się, aby nie kiwnąć ręką filodendronowi na pożegnanie.

W tej chwili posłyszała szept Adasia „bisie nebe koziele?" — na co naj grubszym głosem odpowiedziała „jo, jo", a co na zwykły język polski znaczyło: „ale wytrzymałaś — co?" „nooo". Bo Irenka i Adaś mieli swój język Tylko oni go rozumieli i tylko w tym ich języku mogło być wyrażone to najgłębsze uznanie za jej odwagę.

Pierwsza lekcja udała się i zapanowały najlepsze stosunki między Irenką i filodendronem.

Polski Lot przez Atlantyk



Major Makowski odbył swój lot przez Atlantyk do Polski.

Po kilkakrotnych lądowaniach i startach w Ameryce Południowej — polski „Luckheed 14" lądował w Natalu przebywając ostatni etap lotu nad Ameryką Południową. Następny etap — to „skok" przez Atlantyk Południowy na trasie Natal — Dakar, wynoszący około 3.000 km. Czas przelotu przy dość dużej szybkości „Luckheeda" trwał około 10-ciu godzin.

Przed startem do lotu nad Atlan-

tykiem mjr. Makowski wraz z załogą przeprowadził dokładny przegląd całego samolotu.

Z Dakaru mjr. Makowski skierował się do Casablanki, a następnie przez Sardynię, Mediolan i Wiedeń do Warszawy.

Na zdjęciu — moment owacyjnego powitania na lotnisku na Okęciu dyrektora Polskich Linii Lotniczych „Lot" mjr. Makowskiego, który po dokonaniu na samolocie komunikacyjnym typu Lockheed 14 gigantycznego przelotu nad krajami Ameryki Południowej, a następnie nad Atlantykiem, wylądował w Warszawie w dniu 5 czerwca o godz. 15.35. Na prawo: mjr. Makowski wraz z synkiem, przy swym aparacie, po powitaniu.

U SZEWCA

Bardzo przyjemnie jest zatrzymać się przed sklepem p. Karasia i przez lśniące, czyściutkie szyby w suterynie, już pod sklepową wystawą, popatrzyć, co się dzieje w warsztacie.

Bo p. Karaś ma sklep z obuwiem, a pod sklepem niewielką pracownię. Pracuje on sam — jeden czeladnik i dwóch chłopców - terminatorów.

Kazik, idąc do szkoły, zawsze przechodzi koło sklepu i nie może się oprzeć chęci zajrzenia, choć podobno nie powinno się zaglądać w cudze okna.

Ale przecież to nie jest takie zwyczajne okno, i za nim zwykłe mieszkanie, ale warsztat szewcki.

I w dodatku pan Karaś — to przecież Kazika znajomy, bo chłopiec zawsze czyha na okazję zaniesienia czyich butów, żeby popatrzyć zbliska na robotę.

Kazik strasznie lubi patrzyć, jak się coś robi, wszystkie rzemiosła, warsztaty, fabryki nadzwyczaj go interesują, nie tak, jak Stasia, który chce tylko czytać książki.

Kazik też jest dobrym uczniem i przepada za książkami, ale jakżeż tu nie interesować się tym, co się dzieje dookoła.

Na przykład samochody — nauczyć się rozróżniać różne marki i rozpoznawać je z daleka wraz z innymi chłopcami — to też pyszna zabawa. Nieraz nawet bywają zakłady, czy wiecie o stalówki. Ale Kazik tak się wyspecjalizował, że niektóre maszyny rozpoznaje po głosie motoru. To też nikt nie chce się z nim zakładać. Szkoda stalówek.

Z powodu tych wszystkich zainteresowań wynikają nieraz spory ze starszym bratem, Stasiem.

Staś zawsze niesie ze szkoły nową książkę do czytania, śpieszy ile tchu do domu i idzie tak, jakby wędrował przez pustynię, na której nic się nie dzieje.

A Kazik tymczasem spotkał jakiś nowy nieznany samochód i obchodzi go dookoła.

— Dajże spokój z tymi samochodami — wzdychał Staś. Tymczasem za rogiem czyhała nowa pokusa.

Motocykl... Cudo poprostu. Taki mieć, to przecież można przejechać cały świat.

A gdyby przynajmniej rower — snuł Kazik wspaniałe marzenie.

Cóż, kiedy Staś prawie siłą odciągnął go do domu.

Kazik powędrował zły i chmurny. Ale już w przedpokoju rozjaśnił

... gdy przesunął ręką po paczce ygotowanej do zabrania.

Przez papier wyczuł pantofle, mamy pantofle na wysokich obcasach.

Popędził zaraz do matki, wołając:

— Ja, ja odniosę!

Mama uśmiechnęła się:

— Pewnie chodzi o te moje pantofle i p. Karasia. No, już dobrze, dobrze, tylko nie spóźnij się na obiad.

Ale chłopiec już skakał po trzy schody naraz, a ostatnie pół piętra zjechał poprostu po poręczy. (Wcześniej nie było można, gdyż poręcz była ozdobiona metalowymi sęczkami). Za chwilę witał się przyjaźnie z p. Karasiem i wręczył mu mamy pantofle. Drobna reperacja — wyjaśnił — tylko obcasy. Majster obejrzał sumiennie obuwie i oświadczył:

— Nie nadają się do naprawy.

— Tandeta, fabryczna tandeta. Widzisz chłopcze, tu z tyłu tektura, zamiast skóry, a wyklejone pięty ceratą. Drzewo w obcasach popękało i podeszew też zaraz pęknie w zgięciu. Z wierzchu niby eleganckie, ale tandeta. Tanie to i niby ładne — ale tandeta.

— Ach, te mechaniczne wytwórnie obuwia, ile one naszkodzą — wzdycha, szewc srodze obruszony.

— Dlaczego? — dziwił się Kazik. — Czy dlatego, że odbierają wam zarobek.

— To jeszcze nie najgorsze — wyjaśnił majster — tacy, co chcą mieć dobre buty, zawsze do mnie trafią, ale przecież rzemieślników trzeba kształcić, dobrych, solidnych fachowców. Patrz na mego Janka. Fleka przybić nie umiał, kopyta porządnie trzymać nie potrafił, a już niedługo sam pierwszorzędne buty będzie robić. O! nie gap się tak Janek, wiadomo, że leń jesteś i wcale cię nie chwalę. No, a w takiej fabryce, gdzie maszyny buty robią, a szewc, pożal się Boże, tylko im dopomaga, gdzież on się czego nauczy. Zapomni nawet tego, co umiał.

Jeden tylko ciągle skórę do przykrajania podsuwa i nic więcej, inny maszyny i zszywania pilnuje i nosa po za to nie wytyka. Gdzież tu rzemiosło? Partactwa się tylko nauczysz i nic więcej.

A najważniejsze, że nie wiadomo, za jakie pieniądze pracuje ta fabryka zagraniczna — czy nie żydowskie przypadkiem?

— Panie majstrze — oświadczył uroczyście Kazik, obiecuję i postanawiam, że będę kupować tylko buty ręcznej, solidnej roboty, u porządnych rzemieślników, już teraz rozumiem, jak trzeba popierać polskie rzemiosło. I mamie i wszystkim powtórzę to, co od pana słyszałem.

— A teraz dowidzenia, bo śpieszę się na obiad.

I wybiegł podśpiewując wesoło:

„Grunt na świecie zdrowe nogi.
Grunt na nogach dobre buty".

SKAZANIEC MILIONEREM

W pewien mglisty dzień do gabinetu pana Mac - Gratha w Londynie weszła siwowłosa staruszka bojaźliwie rozglądając się dookoła. Usiadła na brzegu krzesła i zapytała drżącym głosem, czego żąda od niej pan mecenas. W ręku trzymała list, napisany tonem urzędowym.

— Proszę mi powiedzieć — zapytał obcesowo adwokat — dlaczego pani zataiła prawdę przed sędzią śledczym? Chodzi

mi o sprawę Ryszarda Mayola, którego oskarżono o usiłowanie zabójstwa i kradzież, a który jak pani wiadomo, jest niewinny.

Staruszka zadrżała i nie mogła znieść badawczego spojrzenia pana Mac - Gratha. Zaczęła płakać.

— Och, proszę pana — załkała — teraz już mu nic nie pomoże. Stoi przed sądem Boga, a On jest sprawiedliwszy, niż ludzie. A ja... ja..

— Proszę mi wszystko szczerze powiedzieć. Tak, jak pani nakazuje sumienie.

— Niech mnie pan nie gubi — złożyła naraz ręce, jak do modlitwy.

— Nikt nie ma zamiaru pani gubić. Jestem jednak przekonany, że pani jest pod przemocą. Przyrzekam, że dopomogę pani wyrwać się z pod tej przemocy, ale przedewszystkim musi pani spełnić swój ludzki obowiązek.

— Poco to komu dziś potrzebne?

— Oczyszczenie kogoś z niesłusznego zarzutu jest zawsze naszym obowiązkiem, niezależnie od tego, czy ten ktoś żyje, czy umarł — powiedział adwokat poważnie.

Staruszka nagle wyprostowała się i cichym głosem opowiedziała całe zdarzenie. Adwokat pilnie notował jej słowa. Na zakończenie przyznała się, że wiedziała o nieconych kradzieżach zwierzyny, dokonywanych przez nadleśniczego, który bojąc się że go zdradzi, dopomagał jej materialnie i opłacał nawet naukę jedynego jej wnuczka.

— Jestem zupełnie sama, niedołężna, z małem dzieckiem mojej ukochanej córki; musiałam milczeć, by nie zginąć z głodu i nędzy.

— Czy zeznanie swoje zechce pani podpisać? — zapytał ją adwokat.

Staruszka chwilę walczyła ze sobą, wreszcie wyrzekła znękanym głosem:

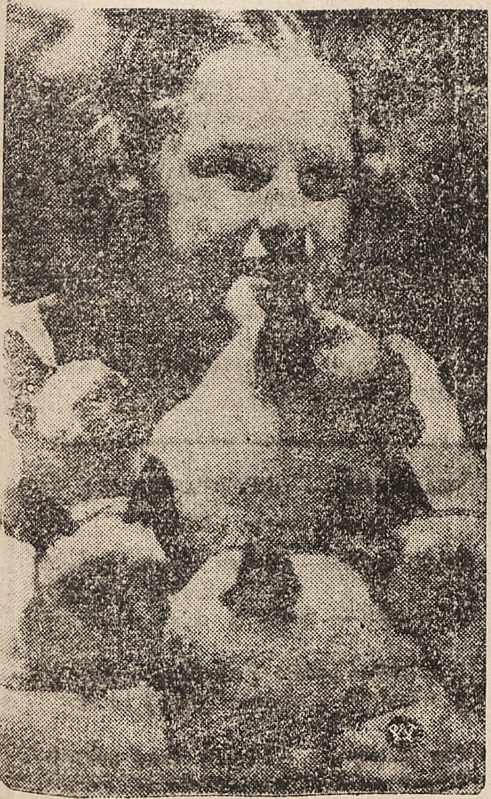
— Dziej się wola Boża! Chyba Bóg mnie nie opuści!

I już ze spokojem położyła swój podpis pod tylko co spisane zeznania.

— Na pewno Bóg pani nie opuści — powiedział pan Mac - Grath. — Powiem pani teraz, że ten, którego swojem zeznaniem uwolniła pani od hańby i więzienia — żyje. Jest dziś bogatym człowiekiem. Zabezpieczy pani starość i zaopiekuje się pani wnukiem. Proszę jeszcze dziś zawiadomić jego matkę, by biedna kobieta mogła nareszcie być szczęśliwą.

* * *

W kilka miesięcy później wróciła Marta jachtem pana Tańskiego do Polski. Byli



MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA KOTÓW W BERLINIE

W Wiedniu odbywa się międzynarodowa wystawa rasowych kotów, która cieszy się żywym zainteresowaniem różnych krajów. Na zdjęciu jedna z przyjaciółek kotów wraz ze swymi sjamskimi pupilami na wystawie wiedeńskiej.

to już serdeczni przyjaciele i wspólnicy, gdyż pan Tański założył wielki trust połowu pereł na wyspie, którą nazwano — wyspą Syrenią. Do trustu należeli, jako współwłaściciele, Marta i Dyck. Oczywiście plenipotentem Marty był pan Mac - Grath.

Dyck, którego witano w ojczyźnie jego, jak bohatera, po dłuższym pobycie w domu swej ukochanej matki, wstąpił na uniwersytet w Cambridge.

* * *

W pogodne jesienne popołudnie zebrała się cała rodzina państwa Lachowskich pod wielkiemi kasztanami o złocisto - rdzawych liściach, osnutych babiem latem polskiej jesieni.

Marta niewiadomo po raz który opowiadała rodzicom i młodszej siostrzyczce swoje niezwykłe przygody.

Wreszcie zarzuciła ręce na szyję ślicznej jasnowłosej pani i rzekła, dotykając paluszkami wspaniałego sznura różowych pereł na jej szyi:

— Gdyby nie te perły, przestałabym wierzyć, że to było kiedyś prawdziwem zdarzeniem.

KONIEC.

RZECZY CIEKAWE

WZOREM PIRAMID EGIPSKICH

Na przyszłorocznej wystawie światowej w Nowym Jorku szczególną niezawodnie uwagę zwracać będzie pawilon przemysłu kosmetycznego. Główną ozdobą tego pawilonu będzie olbrzymi monolit, wykuty z czarnego granitu w górach Arizony. W monolicie tym zamurowane będą najdroższe perfumy, używane dziś przez Amerykanki.

Po skończeniu wystawy, monolit przeniesiony będzie do Santa Rita w górach Arizony. Na granicie, stylizowanym według starodawnej sztuki majów meksykańskich, wyryty będzie następujący napis: „Świątynia piękności amerykańskiej — wolno otworzyć dnia 29-go kwietnia 2939 r.".

Za tysiąc lat dowiedzą się zatem ludzie, jakich perfum używały za naszych dni Amerykanki, oczywiście — jeżeli zapachy nie zwietrzeją, a kataklizm nie zmiecie monolitu albo i ludzkości z powierzchni ziemi.

NAJDŁUŻSZY TUNEL SZOSOWY

Kończąc podróż inspekcyjną po północnych prowincjach Iranu, Reza Szach Pahlevi dokonał inauguracji prac przy budowie tunelu w górach, na wysokości niemal 3-ch tysięcy metrów, na drodze, łączącej Tehearn z wybrzeżem morza Kaspijskiego.

Tunel przechodzić będzie pod górą Concovan na wysokości 2.700 metrów i liczyć będzie 1.880 metrów długości. Będzie to najdłuższy na świecie tunel szosowy.

ZAGADKI — PRZESTAWIANKI

(każdy wyraz 3 litery)

1) Czytaj wprost — będzie rybą w naszych stawach żyjącą,
A wspak — rzeką w Afryce płynącą.

2) Wprost — będzie gwiżdżący ptak,
A wspak — z owoców pyszny smak.

3) Czytaj wprost — każdy dom posiada,
Wspak — do faworków dodać wypada.

4) Wprost — piękny ogród w Starym Testamencie znany,
Wspak — głęboki wądół porosły krzewami.

5) Wprost — też jest ryba, prawie bez ości
A wspak — deser, dobry dla gości.